

Pamiętnik nauczycielki

(...) W maju 1992 szczęśliwie wróciłam z wycieczki z VIIIb. Wiedziałam, że łatwo z nimi nie będzie. Artur, ich wychowawca, wiedział to samo. Nikt poza mną nie miał jednak pojęcia, że wyobraźnia połączona z detektywistycznym zmysłem to moja tajna broń przeciwko ułańskiej fantazji, buzującym hormonom i niczym nieumotywowanemu przekonaniu moich uczniów o tym, że są absolutnie genialni w wyprowadzaniu w pole swoich belfrów.

Pogoda była upalna i piekielnie męcząca. Trzydziestokilometrowy marsz w pełnym słońcu z plecakami i namiotami wzdłuż niekończącej się rzeki gwarantował w miarę spokojną noc. Miary jednak bywają różne... Po kolacji i wieczornym spacerze zrozumiałam, że tej nocy spania nie będzie. Nie mam pojęcia, jak to jest z młodymi ludźmi, że wprost proporcjonalnie do zmęczenia przyrasta im siła witalnych...

W dwukondygnacyjnym hotelu rozlokowaliśmy ich odpowiednio: I piętro – ja i dziewczyny, II – Artur i chłopaki. Każde z nas pełniło swój dyżur na kanapach w holach. Kiedy wydawało mi się, że już spokojnie mogę wrócić do pokoju, zauważyłam Ewę, która zamiast odpoczywać, kolejny już raz wędrowała do toalety.

– Wszystko OK? – zapytałam, gdy znowu wracała do pokoju.

– Taaak. Raczej tak.

– Raczej? Chodź ze mną. Zamknij drzwi.

– Czy ja będę mogła spać dziś z panią? Znaczą tutaj?

– Czemu?

– Widzi pani, chłopaki umówili się z dziewczynami. I oni przyjdą w nocy do naszego pokoju. A ja nie chcę...

– Ja też nie chcę – powiedziałam – ale sądzę, że lepiej będzie dla ciebie, gdy ja przyjdę do was. A właściwie do ciebie.

– A nie wyda mnie pani?

– No coś ty! Nie martw się.

Przebrałam się w dres i zapukałam pod siódmą.

– Ja tu dzisiaj śpię – powiedziałam, nie bawiąc się w grzeczności. A niech mi która piśnie słówko, że tu jestem – zagroziłam i zgasiłam światło.

– Posuń się – szepnęłam i bezceremonialnie wpakowałam się Ewce do łóżka. Było bardzo ciasno, chociaż dziewczyna prawie wcisnęła się w ścianę. Gdy już zasypiałam, usłyszałam odgłosy bosych stóp tłukących po podłodze, a potem szepot:

– Artek już śpi. Zocha siedziała i siedziała, ale też już kima.

„Dam ja ci Zochę!” – pomyślałam i schowałam głowę pod kołdrę.

– Posuń się, Kaśka – rozległo się w ciemności. Nie usłyszałam protestów. Kamil i Jurek bez słowa sprzeciwu znaleźli się w łóżkach pozostałych dziewczyn.

– Ewka, posuń się – usłyszałam tuż nad sobą głos Marka.

– Ale masz zimne nogi – poskarżył się po chwili. Nie wytrzymałam. Podniosłam kołdrę i najbardziej jadowitym głosem, na jaki było mnie stać, wyszczałam:

– No to się rozgrzejemy!

Takiego rumoru ten hotel z pewnością nie pamiętał. Czterech spłoszonych amatorów nocnych wrażeń gnało na złamanie karku, potrącając w ciemności napotkane sprząty.

A ja wróciłam do siebie i spałam dobrze, jak nigdy dotąd na wycieczce. Myślę sobie nieskromnie, że powinni mnie przepisywać na receptę jako niezawodny środek antykoncepcyjny.

Lubię tę VIIIb. (...)

Ołówek

Pamięci Kai z III D

Ten mały punkt na niebie to ona – jaskółka.

Przez wiatr goniona, muska skrzydłem powietrze...

Pyta pani, jaka jestem? Lubię symetrię. Lubię, żeby grało tak, jak ja chcę. Porządkuję, ustawiam, naginam. A kiedy trzeba – łamię. Bez żalu. Musi się zgadzać. Nawet gdy się nie zgadza. Małżeństwo mnie uwierało. Nie przystawaliśmy do siebie. Zabrałam dzieci i wyjechałam. Hubert spodobał mi się od razu. Stał, kiedy chciałam, żeby stał, milczał, gdy uznałam, że powinien. Dzieciaki bez szemrania chodziły do nowej szkoły. Harmonia została osiągnięta. Porządek, cisza, spokój. Tak jak lubię. Liceum Franka zburzyło wszystko. Wciągnął się w jakąś szkolną aktywność. Wolontariat czy coś. Coraz częściej nie było go w domu. Denerwowało mnie to. Niby dalej sprzątał, w weekendy mył okna i wyprowadzał psa, nie przekraczając limitu czasu na to przeznaczonego, ale coś przestało grać. Im był starszy, coraz mniej przystawał. Z dnia na dzień coraz bardziej przypominał swojego ojca. A to mnie uwierało. Bardzo. Zaczęłam porządkować. Ograniczyłam dostęp do netu. I wie pani, właściwie tylko tyle mogłam. Kieszonkowego nigdy nie dostawał, wolnego czasu nie miał, nikogo nie zapraszał do domu. Nie pozwalałam. Tylko ten wolontariat czy coś. Nauczycielka wybitnie mi się nie podobała. Za młoda, za przemądrzała, za... za ważna dla Franka.

To przez nią zaczął mówić, nawet gdy nie chciałam. To przez nią wyjeżdżał na jakieś szkolne imprezy, które były stratą czasu. To przez nią upominał się o swoje zarobione przez wakacje pieniądze, które dał mi na przechowanie. Wydałam je. Miałam prawo.

W końcu to mój syn i ja decyduję. O nim. I jego pieniądzech też. Na studniówkę poszedł w nowym garniturze. Zapłacił też za swoją partnerkę. To przez nią. Przez tę nauczycielkę. Pożyczyła mu pieniądze. I znalazła miejsce w internacie, gdy skończył 18 lat. I poszedł. Nie przystawał, nie dał się nagiąć. Że go złamałam? Że miał myśli samobójcze? Bez przesady, droga pani.

To tylko histeria, manipulacja. Nigdy jej tego nie zapomnę. Tej nauczycielce.

To wszystko przez nią. Dobrze, że lwonę wysłałam do waszej szkoły. Lwona przystaje, bo tej nauczycielki tu nie ma. Nigdy nie zapomnę jej tego, co zrobiła z Frankiem.

– Ale jestem ja, szkolna psycholożka, proszę pani. I chcę pani powiedzieć, że Lwona ma myśli samobójcze. Po to tu panią wezwałam. Proszę wreszcie odłożyć ten ołówek i przestać stukać o blat.

– Że co? To tylko histeria!

– I manipulacja?

– Tak. Zniszczyliście mi dzieci. Nie puszczę wam tego płazem.

– Niech pani nie rzuca we mnie ołówkiem! I nie trzaska drzwiami!

Okulary

Lubiła tam chodzić. Od zawsze. Czuła się chciana, potrzebna. Dzieci chętnie z nią pracowały, a ona odczuwała ogromną radość z tego, że mogła im pomagać. Czasem ta pomoc przybierała zgoła niespodziewane formy.

Tak stało się i tym razem. Jedną z jej podopiecznych była Kasia – dwunastoletnia sepleniąca blondyneczka ze znaczną wadą wzroku.

Dziecko nie nosiło okularów. Z relacji opiekunek wynikało, że nie ma takiej siły, która mogłaby ją do tego skłonić.

Tego dnia jak zwykle Kasia przyszła na zajęcia i jak zwykle mrużyła oczy, bezskutecznie próbując odczytać tekst z monitora.

– Kasiu – zagadnęła nauczycielka – dlaczego ty nienosisz okularów?

– Oj, proszę pani...

– Nie „proszę pani”, tylko: dlaczego?

– Bo nie lubię – odparło dziecko.

– I to jest jedyny powód? – dociekała.

– No nie...

– To dlaczego? – Była nieustępliwa.

– Bo Krzysiek się ze mnie śmieje.

– Krzysiek się z ciebie śmieje? – powtórzyła jak echo.

– Zawsze jak zobaczy mnie w okularach, to się ze mnie śmieje – pożaliła się dziewczynka.

I jak zwykle w takich razach jakiś diabeł ją podkusił. Niewiele myśląc, wypaliła:

– Kasiu, jak jeszcze raz Krzysiek będzie się z ciebie śmiał, to mu powiedz, że dopiero w tych okularach widzisz, jaki on jest głupi.

Dziecko patrzyło na nią okrągłymi ze zdziwienia oczyma.

Kiedy po zakończonych zajęciach szła do wyjścia, spotkała stojącą na schodach Kasię.

– A co ty tu robisz, Kasiu? – zagadnęła.

– Czekam na Krzyśka – z jadowitym uśmiechem odparła dziewczynka, poprawiając okulary na nosie.

Lupa i pęseta

– Kto to jest? – spytała Iza, odwracając głowę za wysokim, smukłym oficerem w mundurze lotnika.

– O kogo pytasz? – udałam Greka.

– O tego żołnierza, który uklonił ci się przed chwilą – zniecierpliwiła się młodsza siostra.

– Aaa, to Staszek. Kiedyś mój uczeń. Stare dzieje – odparłam.

– Fajny! – W głosie Izy dało się słyszeć zachwyt.

– Gdybyśmy go spotkały parę lat temu, minąłby mnie jak kogoś obcego.

– Ciebie? Przecież tobie wszyscy się kłaniają – nie dowierzała Iza.

– Nie wszyscy i nie zawsze, siostrzo.

Izie zabłyśły oczy.

– Chodźmy do jakiejś kawiarni, zanim umrę z ciekawości – powiedziała i pociągnęła mnie za sobą do nowo otwartej „Karparki”.

– Mów! – ponagliła mnie siostra.

– No przecież mówię – wysapałam, sadwiąc się w fotelu. Chodził do technikum. Wiesz, jak to jest... Napompowane testosteronem małolaty pozują na macho.

– Chciał zaistnieć?

– Jak oni wszyscy. Tyle tylko, że on przegiął. I to bardzo. Nie pierwszy zresztą raz.

– I o ten raz za dużo? Dałaś mu bobu? – dociekała Iza, patrząc wyczekująco.

– Omawiałam wtedy jakiś szczególnie trudny liryk, a on wycinał coś zapamiętałe. Jestem dalekowidzem, jak wiesz, więc bez problemu przeczytałam, czym się zajmował, chociaż siedział w trzeciej ławce. To było coś na klasówkę z przysposobienia obronnego. Cierpliwa jestem, dużo rozumiem, więc poprosiłam go, żeby skończył to wycinanie.

– Powiedz, że nie skończył... – W oczach mojej siostry rozbłyśły diabelskie ogniki.

– Dalej wycinał, tyle że pod ławką. Szlag mnie trafił. „Stasiu, schowaj tę kartkę i nożyczki, zanim tych drugich użyję przeciwko tobie”, powiedziałam najspokojniej, jak potrafiłam.

- Uooo! A co on na to? – Iza nie mogła usiedzieć spokojnie w fotelu.
- Co on na to? Spytał, czy mu jajka poobcinam.
- Uahahahaha... – zaryczała siostra. – No to cię załatwił.
- Rozwścieczył, a nie załatwił.
- Ale klasa miała igrzyska! – Iza ciągle się śmiała.
- Miała. Szczególnie chwilę potem.
- Noooo? – dopytywała Iza, wycierając chusteczką zapłakane ze śmiechu oczy.
- Powiedziałam mu, że dzisiaj może być spokojny o swoje jajka, bo nie mam ani lupy, ani pęsety.
- Iza rozłożyła się na kawiarnianym fotelu i wyła ze śmiechu.
- Uspokój się, wariatko! Wszyscy gapią się na nas! – Nie pomagało. Śmiała się nadal. W końcu i ja dołączyłam, żeby nie wyglądało głupio.
- Znienawidził cię? – bardziej stwierdziła, niż spytała, gdy już jej trochę przeszło.
- Na wiele lat. I nie mam mu tego za złe. Do końca technikum darli się za nim: „Mini, mini”... A mnie, gdy chodziłam na zastępstwa, pytali, czy mam ze sobą niezbędnik polonistki.
- No ale w końcu ci wybaczył. Kłania się przecież – powiedziała, gdy już wreszcie mogła.
- Pięć lat temu spotkaliśmy się na ulicy. Był w mundurze, tak jak dziś. Omijałam go, nie patrząc w jego stronę. Odkąd ukończył szkołę, demonstracyjnie mi się nie kłaniał. Tego dnia zatrzymał się przede mną. Ukłonił się i przeprosił. Za tego gówniarza, któremu kiedyś za dużo się wydawało.
- Fajny facet. Nawet bardzo! – powiedziała siostra i patrząc na mnie z uśmiechem, sięgnęła po filiżankę.

List do N.

Uroczę, 12.10.1983 r.

Proszę paniom!

Na wstępie mego listu chciałem paniom przeprosić za wszystko, co zrobiłem złego. Na prawdę nie chciałem dziugność Kaśki norzyczkami. Ona mnie szczypała pod ławkom i nie chciała psześcić. Nie chcem być skarżypytom, bo potem dzieciaki nie chcom się ze mnom bawić. Mówiłem jej żeby przestała, a ona nie. Jak mnie bardzo zabolato to jom uderzyłem. Tylko zapomniałem że trzymam norzyczki bo pani kazała wycinać wyrazy do tej układanki. Ale ona mię odepchała i trochę jom tylko dziugnołem. Niech pani niemuwi nic tatowi na wywiadufce. Schowałem pas po ostatnim laniu ale jak tato znajdzie to znowu nie bende mug ćwiczycy na wuefie a mamy mecz i chłopaki bendem złe.

Bardzo paniom prosze.

Darek.

PS. Bardzo paniom lubie.

Rower

Od zawsze chciała być nauczycielką. Uwielbiała zapach farby drukarskiej, który unosił się w powietrzu, ilekroć otwierała książki, gładząc palcami kolorowe kartki. Lubiła swój tornister pełen kredek ukrytych w chińskim piórniku, w tym samym, w którym zamknęła pachnącą gumkę przesłoniętą przezroczystą folijką z nadrukiem sarny o niezwykle pięknych oczach. Te wszystkie skarby zdobyła w wakacje, stojąc pokornie w kilometrowej kolejce do papierniczego. Trudno się dziwić, że jej szkolny kolega Marek wylądował na podłodze, gdy zorientowała się, że pożarł jej pachnącą gumkę.

W ogóle były z nią same kłopoty. A to postrzeliła z procy kolegę tak, że sztyft wbił mu się w nogę, a to ochlapała atramentem kokardę lwony, a to uszkodziła żyrandol na szkolnym holu, gdy grała z chłopakami w siatkówkę. Nie przeszkadzało jej to jednak marzyć z perspektywy kąta, w którym dosyć często stała, o karierze nauczycielki. Oprócz oczywistych wad miała też kilka zalet. Jedną z nich była determinacja w dążeniu do celu. Może nie zawsze cel, który sobie obrała, był ogólnie aprobowany, jednakże nie spoczęła, póki nie dopięła swego.

Oczywiście została nauczycielką, ale zanim do tego doszło, przebrnęła przez dzieciństwo, które odbiło się echem, gdy była zupełnie dorosła i gdy najmniej się tego spodziewała.

Przeszość, która ją dopadła, nierozzerwalnie związana była z rowerem. Ze składakiem Wigry 3. Otrzymała go od taty na 12. urodziny. W tym czasie jej młodszy brat miał 8 lat, na które zresztą nie wyglądał. Był wątyły, drobny i niski. I to w zupełności wystarczyło, by stał się ofiarą Janusza, który był niewiele od niego wyższy, ale za to silniejszy i szybszy. Również od niej. Do czasu. Do czasu jej 12. urodzin, z okazji których otrzymała wspomniany wcześniej rower. Używając go zgodnie z wyznaczonym sobie celem, nie sądziła, że gdy będzie już nauczycielką, ta historia wróci do niej jak bumerang.

To były początki jej pracy. Przez jej ręce przeszły różne szatańskie roczniki. Ten był kolejny. Tuż po dzwonku jak zwykle weszła do klasy i z zainteresowaniem odczytywała listę nowych uczniów. W pewnej chwili coś przykuło jej wzrok.

„Niemożliwe” – pomyślała, patrząc na rezolutną dziewczynkę, która wstała na dźwięk swego nazwiska. Po chwili, uznając, że jest to zwykły zbieg okoliczności, poprowadziła lekcję. Było ich jeszcze wiele. Każda inna. Nie zmieniło się jedno – spojrzenie dziewczynki skupione na niej. Pewnego dnia, gdy lekcja przebiegła nader sprawnie i zostały 3 minuty do dzwonka, Kamila podniosła rękę do góry.

– Słucham? – zwróciła się do dziecka.

– Proszę pani, mój tata to panią zna.

Zrobiło jej się słabo. „To niemożliwe” – pomyślała. „Chyba śnię”.

W tym czasie niezrażone dziecko kontynuowało opowieść.

– I kiedy pani dostała ten rower, to mój tata o tym nie wiedział. I kopnął pani brata. I pani to zobaczyła. I wsiadła na rower. Tata uciekał, ale pani była szybsza.

– I co, i co? – dopytywały dzieciaki, podczas gdy ona czuła, że nogi uginają się pod nią.

– Pani złapała tatę za włosy i jechała, a tata biegł za panią. Aż w końcu upadł...

Uczniowie wlepiali w nią oczy, nijak nie mogąc połączyć jej osoby z dręczycielką na rowerze.

– No... i żeby było wszystko jasne – rzuciła nauczycielka – rower mam nadal w piwnicy – powiedziała niby od niechcenia, pakując do torebki pióro, bo właśnie zadzwonił dzwonek.

Plastry

Miałam wnuczkę. Śliczną. Jej lśniąco włosy sięgały pasa. Jak ona jeździła konno! Pięknie trzymała się w siodle. Uwielbiałam na nią patrzeć. Albo w sali koncertowej... Grała na fortepianie. Skupiona, efemeryczna. Moja wnuczka! I nagle znikła. Przepadła. W celuściach pokoju. W sobie. Najpierw myślałam, że to reakcja na izolację pandemiczną, że nauczanie zdalne tak ją poturbowało. Gdy zobaczyłam ją z głową ogoloną na zero, popłakałam się. Ciężkie warkocze spadły na podłogę obcięte nożycami kuchennymi. Przez nią. Gdy była sama w domu. Pytaliśmy: dlaczego. Stała nieruchomo ze wzrokiem wbitym w ziemię. I nic. Zacięła się. Jak osioł. Z łusą głową, w za dużych bluzach, w zbyt szerokich spodniach, z dnia na dzień stawała się coraz bardziej obca. Moja wnuczka. Głębokie cięcia na przedramionach zakrywała rękawami. Lato odstąpiło wszystko. Sine blizny od nadgarstków do pach oszpeciły moją piękną Wiktorię. Moją amazonkę, moją pianistkę. Na zawsze. Kłóciłam się z synem, wrzeszczałam, płakałam.

– Zrób coś do cholery! – zawyłam, patrząc, jak Wiktoriana plastrami zakleja piersi. Powinnam zapukać, wchodząc do łazienki. Nie zapukałam. Nie rozumiałam tego, co się dzieje. Nie chciałam. Łysej głowy, pociętych rąk, plastrów na piersiach. Chciałam z powrotem Wiktorię. Moją długowłosą amazonkę, pianistkę. Moją Wiktorię. Mam Wikię. Tak, to ten chłopak na zdjęciu. Napisali o nim w dzisiejszej gazecie. Widzi pani? Wiki Nowak laureatem olimpiady matematycznej. Jak to Wiki? Mój wnuk poddał się mastektomii. Po piersiach zostały tylko blizny. Badania psychologiczne jednoznacznie wykazały transpłciowość. Trudne słowo, prawda? Nie rozumiem tego. Ale nie o mnie tu chodzi. Wiki. On tu jest najważniejszy. Mój wnuk.

Termometr

Uroczę, 20.11.1987 r.

- Dziecioki, nie pchajta się tak! Pomalu, pomalu siadajta.
 - Dzieeeeeń doooooobry, paaaaanie dyyyrektoooooorze!
 - Dzień dobry! Roździwajta się.
 - Ależ, panie dyrektorze, jest bardzo zimno.
 - Pani Smokiewicz, pani wiecznie zimno! Zara przyjdzie Kozłowo i napali.
 - Ona już tu była! Nie widzi pan, jak ciemno w sali? Nie chce się palić w piecu.
 - O choina, ktoś puko...
 - Dzień dobry! Sanepid. Pan dyrektor?
 - A juści.
 - Kontrola warunków nauki i pracy. Proszę pozwolić nam przystąpić do pomiaru temperatury w salach szkolnych.
 - Kontrolujta. A te termometry musom leżyć na parapetach? Przeca bez te stare łokna wieje.
 - Pani Smokiewicz, chuchaj pani na ten termometr, póki ich ni ma!
 - Panie dyrektorze, woda w wiadrze przy piecu zamarźła. Co ja mam chuchać...
 - Dziecioki, chuchojta do wiadra, no już!
- I chuchały.
Naprawdę.

Telefon

- Zosiu, podejdz do okna. Czy to nie do ciebie goście? – spytała mama z niepokojem w głosie. Wzięłam Marcinka na ręce i czym prędzej podeszłam do firanki.
 - Wygląda na to, że moi, mamó – powiedziałam z niedowierzaniem w głosie.
- W tej samej chwili zadzwonił telefon.
- Dzień dobry, tu dyrektor szkoły w Uroczem. Jest pani Smokiewicz?
 - Przy telefonie. Jestem na zwolnieniu panie dyrektorze, jak pan wie.
 - I bez to to wszystko – jęknął głos po drugiej stronie. – Dziecioki uciekły ze szkoły. Sq u pani?
 - Jeszcze nie, ale za chwilę będą.
 - To pani się z nimi umówiła na te wagary?
 - O czym pan mówi, panie dyrektorze?
 - O tym, że pani nie ma i dziecioków też nie ma, choina. I pani o tym wie, że ich nie ma.

– Wiem, bo widzę je z okna. Chyba nie sądzi pan, że jestem w zмовіе z drugoklasistami, którzy niezauważeni wyszli ze szkoły i sami przyjechali do miasteczka oddalonego o 12 kilometrów od Uroczego...

– Ale jak uny to zrobiły, pani...

– Przepraszam, ale nie mogę już rozmawiać. Dzwonię do drzwi. Na pewno bezpiecznie wrócę do domu – zapewniłam dyrektora, odkładając słuchawkę.

– Dzień dobry, proszę pani!

– O! Marcinek!

– Jaki ładny!

– Daj łapkę, Marcinku!

– Ojej! Pani ma pidżamę!

– Jarek, nie pchaj się!

– Proszę pani, bo on się bije!

Stałam z Marcinkiem na ręku i nie wierzyłam własnym oczom. Kłębowisko rąk i nóg wypełniało wąski przedpokój zastany w jednej chwili butami, kurtkami i czapkami. W mieszkaniu panował trudny do wyobrażenia chaos. Na szczęście mama wykazała się przytomnością umysłu i przeprowadziła dzieci do największego pokoju.

– Jak wy się tu znaleźliście? – zapytałam, gdy wreszcie doszłam do głosu.

– Wahadłem, proszę pani.

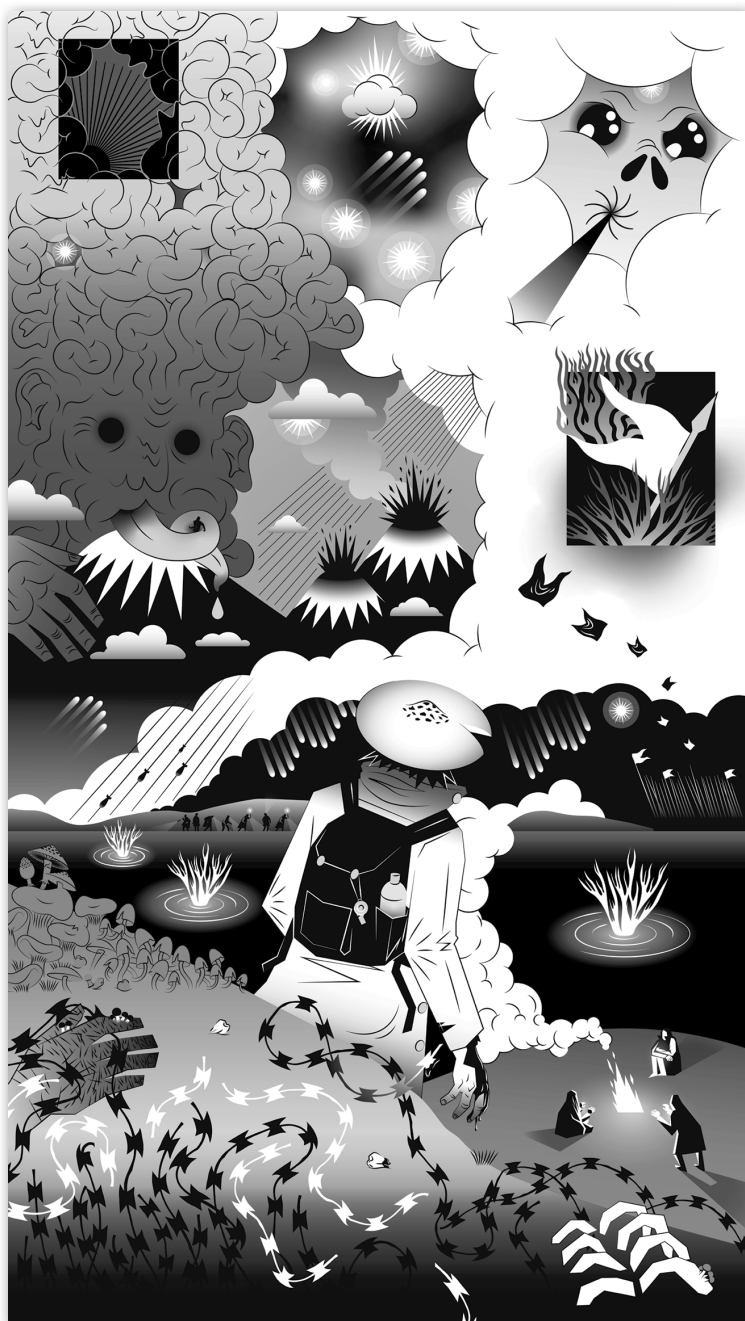
– Kierowca was zabrał? Tak dużą grupę? Bez opiekuna?

– Autobus był pusty. Wracał z elektrowni na bazę. I nas wziął.

– Mieliśmy pieniądze. Kasia wcześniej zebrała.

– Pani długo już nie ma. Chcieliśmy panią zobaczyć.

Zaszklity mi się oczy. Ciepło dziecięcych dłoni obejmujących mnie za szyję, chwytających za ręce, głaszczących Marcinka sprawiło, że wtedy, jak nigdy dotąd, poczułam się na miejscu. Na swoim miejscu. I wtedy znów zadzwonił telefon.



Natalia Łajszczak, *Całość* (z cyklu „Strachy na Lachy”)